

ZACHOWAĆ W PAMIĘCI – HISTORIA MOJEJ RODZINY

TERESA ANKUDEWICZ-BLUKACZ

Na historię mojej rodziny chciałabym spojrzeć przez pryzmat własnych przeżyć i zasłyszanych opowieści. Moja rodzina ma długą, ciekawą, momentami dramatyczną historię. Od lat jestem swoistym kronikarzem swego rodu, badam jego dzieje, jakiś czas temu poświęciłam wiele uwagi monografiom, herbarzom, dostępnym zapisom zgromadzonym we wrocławskiej Bibliotece Uniwersyteckiej. Chcąc stworzyć rzeczywiste drzewo genealogiczne rodziny, sprawdzam wszelkie zasłyszane opowieści. W przywołanych tu wspomnieniach opieram się o fakty, nie wprowadzam zdarzeń niesprawdzonych, poza przypuszczeniami dotyczącymi brzmienia nazwiska. Kiedy byłam dzieckiem, w naszym domu mieszkali trzy pokolenia: babcia, rodzice, wujkowie i ciocia, brat oraz kuzynostwo. Można uznać, że dom w Maciejowej, w którym mieszkalam w dzieciństwie i obecnie, leży pośrodku długości wsi. Do centrum nie jest daleko: 300 metrów w stronę Wrocławia. Zaczyna się ono placem po gospodzie Zacisze, później Galery, w głębi mieści się stary młyn, dalej jest dawna szkoła z klasami od 1 do 4 (obecnie Filia Książnicy Karkonoskiej), naprzeciw budynek dawnego ośrodka zdrowia, klubu młodzieżowego i biblioteki (mieszka tu obecnie – jak mówią mieszkańcy lubiący nadawać własne nazwy - rodzina Czapnika, rzemieślnika produkującego czapki), dalej jest sklep z dużym parkingiem (na miejscu dawnego kościoła ewangelickiego i cmentarza niemieckiego), jeszcze dalej nieistniejąca już szkoła dla klas starszych, naprzeciw przebudowana na dom mieszkalny remiza strażacka, przed którą po wojnie jeszcze stał obelisk z nazwiskami ofiar I wojny światowej, pochodzących z Maiwaldau-Maciejowej, a nad wszystkim góruje kościół pod wezwaniem św. Piotra i Pawła i malowniczy cmentarz, który, ze względu na urodę, chętnie już za życia wybierają na swój wieczny spoczynek mieszkańcy także innych dzielnic Jeleniej Góry. W dawnym centrum mieściła się jeszcze jedna z kuźni i karczma, chociaż niektórzy skłaniają się ku nazywaniu tego miejsca winiarnią (dom państwa Jakubiłowiczów). Działania wojenne ominęły Maciejową. Jedynym śladem wojny było zaminowanie i wysadzenie przez Niemców mostu na Bobrze. Ale to już Jelenia Góra. Do miasta prowadziła do dziś w niektórych miejscach istniejąca wąska droga asfaltowa, ale już w mieście chodziło się po kocich łbach. Tuż po wojnie, ze względu na zniszczony most,

ludzie dostawali się do centrum przez Dąbrowicę lub Raszyce (obecną ulicę Wiejską).

Dom, jak podają źródła na strychowych belkach, został zbudowany w 1876 roku. Wiele podobnych we wsi powstało w tamtym dziesięcioleciu, czy ostatniej ćwierci wieku dziewiętnastego. Wybudowała go zająca rodzina Opitzów, znana na Śląsku od Martina. Nie wiem, czy ta gałąź rodu wywodzi się od znanego twórcy. Ten śląski ród był przecież bardzo plenny, a Opitzów w przedwojennej Maciejowej było więcej. Ci, którzy mieszkali w zajmowanym teraz przez nas domu, trudnili się mechaniką pojazdową, prowadzili warsztat samochodowy i stację benzynową. Ale dużo ciekawsze jest to, że wytwarzali centryfugi. Były to urządzenia do oddzielania śmietany od mleka. Wytwarzali również dzwonki do rowerów z napisem Maiwaldau. Niestety, nigdy takiego dzwonka nie znalazłam. Kiedy odwiedzali nas byli mieszkańcy tego domu, przekazywaliśmy im przedmioty, które dla nich z pewnością mają większą wartość sentymentalną niż dla nas. Niewątpliwie taką pamiątką były fotografie członków rodziny. Po wojnie mieszkali przecież razem z Polakami, pomagali sobie, dzielili się skromnym jedzeniem, smutkami i radościami.

Moi rodzice pochodzą z Bugu. Ojciec urodził się w Żytomierzu, a matka w Kołomyi. Dzieciństwo ojca było trudne. W 1934 r., kiedy na Ukrainie przez Stalina został wywołany głód, ojciec, jako ośmioletnie dziecko, umierał z wycieńczenia. Życie uratowała mu siostra, mleko cielniej krowy. Trzy lata później stracił własnego ojca, a mojego dziadka. Ale o tym za chwilę...W naszej rodzinie od lat wyjątkowo uroczyście świętuje się początek maja. Jest to czas urodzin oraz imieniny wujka Stasia, nestora rodu, liczącego obecnie 88 lat. Zawsze 9 maja, w Dniu Zwycięstwa i jednocześnie dniu swoich urodzin, opuszcza gości, by podziękować Bogu za zakończenie wojny. Był żołnierzem I Armii Wojska Polskiego. Lubi opowiadać o swoich przeżyciach wojennych oraz przyczynie zamieszkania w Maciejowej. Moją tatę zabrali do wojska rosyjskiego już w marcu 1944. Nie podlegał „bronirowce”, czyli odroczeniu od wojska, więc wcielono go do armii. Miał wtedy 18 lat. Trafił aż do Kazania, ale gdy przyszło rozporządzenie, żeby Polaków wcielać do polskiego wojska, znalazł się w II Armii. Ponieważ byli Polakami, traktowano ich po macoszemu. Ojciec podczas wojny był saperem, a później kierowcą. Przeszedł szlak bojowy II Armii Wojska Polskiego. Wojnę zakończył w czeskiej Pradze, a wujek Stanisław w Berlinie. Pewnego razu wujek dowiedział się, że ojciec stacjonuje w Łodzi. To było w 1946 roku. Akurat miał rozkaz wyjazdu do Łodzi po filmy, więc odwiedził mego tatę. Bardzo się zmienił od czasu, kiedy poszedł na wojnę. Wyrósł, utył, zmęśniał. Wtedy zrobili sobie pamiątkowe zdjęcie, które wciąż wisi w naszym domu.

Umówili się, że jak ich obu zdemobilizują, to wrócą do domu, do Żytomierza. Gdy wujek dostał urlop, pojechał odwiedzić Tomasza Baranowicza do Jeleniej Góry, który tutaj się osiedlił. Spodobała mu się ta okolica. Na urlop nie mógł pojechać do Żytomierza, bo był tylko podoficerem, a to była zagranica, Związek Radziecki. Nie chciał też tam wracać na stałe. Wysłał więc do Żytomierza zaświadczenie, że jest żołnierzem w armii polskiej i tak ściągnął swoją matkę, a swoją babcię z najmłodszym bratem i siostrą na Ziemię Zachodnie. Tak się zaczęło życie naszej rodziny tutaj, w Jeleniej Górze.

Wujek na początku wojny ożenił się z Rosjanką, Żenią. Kiedy szedł na front, jego żona była w ciąży. Urodziła córkę, Ludmiłę, ale po wojnie nie chciała przyjechać do Polski. Wyszła powtórnie za mąż i nie chciała utrzymywać kontaktów z pierwszym mężem. Luda dowiedziała się, że ma innego ojca, kiedy była podlotkiem. Od tego czasu zawsze marzyła o poznaniu swego prawdziwego taty. Los chciał, że pewnego dnia mój ojciec, który w jakimś okresie swego życia zawodowego był taksówkarzem, wiozł jakichś „Rosjan”. Okazało się, że pochodzą z Żytomierza. Od słowa do słowa doszli do wniosku, że niedaleko ich obecnego miejsca zamieszkania stał dom babci, który pozostał dla Żeni. Znali dobrze Ludę, która już była mężatką i po powrocie powiedzieli jej, że prawdziwy ojciec chciałby z nią nawiązać kontakt. List przyszedł niebawem. Wkrótce na zaproszenie wujka Luda miała przyjechać do Polski. Było to późną jesienią. Żyła jeszcze babcia Klara. Po Ludę trzeba było pojechać samochodem aż do Poznania. Historia spotkania ojca z córką jest niezwykle wzruszająca. Po raz pierwszy zobaczyli się na dworcu. Luda wysiadła z pociągu relacji Moskwa - Paryż i kiedy wszyscy się rozeszli z peronu, została tylko ona i jej równie wzruszony ojciec, który powiedział po rosyjsku „Jestem twoim ojcem”. Tak pojawiła się w naszej rodzinie nasza nowa kuzynka, najstarsza z nas. Od tego czasu aż do swojej śmierci Luda przyjeżdżała do ojca regularnie, podobnie jak on odwiedzał córkę aż w Połtawie. Wnuk wujka, Jura, właśnie w tym roku przywiózł nam dokumenty, które wstrząsnęły całą rodziną, a dotyczyły okoliczności śmierci dziadka Józefa, męża Klary, a ojca Stanisława, Rozalii, Juliana, mojego ojca, i Jana.

Babcia Klara w 1937 roku, kiedy w grudniu aresztowano dziadka, została z czwórką dzieci. Najstarszy, Stasiu, miał wtedy 15 lat, najmłodszy 9. Przez ponad siedemdziesiąt lat najpierw żona, później dzieci łudziły się, że mój dziadek gdzieś żył, że został wywieziony daleko na Wschód i nie mógł wrócić. Może zmarł, a może się powtórnie ożenił? Prawda okazała się bardzo brutalna - NKWD rozstrzelało go w Żytomierzu miesiąc po aresztowaniu. Na przywiezionych dokumentach na każdej stronie widnieje podpis dziadka – wszyscy z rodziny, którzy oglądali akt oskarżenia, mocno to przeżyli. Wujek często opowiadał o swoich poszukiwaniach ojca. Pisał listy do Stalina, do Berii, wielokrotnie – jeszcze przed pójściem do polskiego wojska – chodził

w Żytomierzu do NKWD. Funkcjonariusze długo przeglądali karty księgi, bowiem na literę A było wiele polskich nazwisk, po czym patrząc na wujka, mówili: „Žditie pisma, wasz ojciec został skazany na 10 lat ciężkich robót z zakazem pisania przez trzy lata”. Na uwagę wujka, że już dawno minęły trzy lata, urzędnik mówił: „To bardzo daleko”. Stąd istniało w rodzinie przekonanie, że może dziadek gdzieś żył. Babkę Klarę los doświadczał w życiu ciężko. Ale doskonale sobie potrafiła poradzić. Handlowała, uprawiała warzywa, które sprzedawała, dzieci chodziły do lasu po runo. Jakoś przeżyli kilkakrotne okupacje Żytomierza: rosyjską i niemiecką. Może na skutek przeżytego ubóstwa, a może z potrzeby serca, a może z obu tych powodów, już po wojnie babka miała piękny zwyczaj obdarowywania na święta różnymi smakołykami rodzin biedniejszych, albo pozbawionych ojca. Do końca życia wtrącała ukraińskie, białoruskie czy rosyjskie wyrażenia do polskiej mowy. Mówiła wówczas: „Mamińko (brzmiało to pieszczotliwie, choć do dziś nie wiem, co dokładnie oznacza), idź do... (tutaj padało nazwisko) i zanieś im ten koszt z jedzeniem na święta”. Babka była szczupła i wysoka, miała w sobie jakąś wielką godność. Pochodziła z Drzewieckich i oni wszyscy byli pięknymi ludźmi. Tutaj, w Maciejowej, przydarzyła się jej kolejna przykra historia. Na tydzień przez ślubem i weselem moich rodziców, została aresztowana. Jej chęć udzielania pomocy innym, źle się dla niej skończyła. Nieopodal Maciejowej, w Wojanowie, był dom poprawczy, z którego pewnego dnia uciekło kilku młodych ludzi. Nie wiadomo, czy potrzebowali resocjalizacji, czy może należeli do grupy społecznej przez ówczesne władze nieakceptowanej? Przyszli od strony rzeki, babka ich nakarmiła, ubrała i dała ze sobą jedzenie. Wkrótce ich złapano. Powiedzieli, kto im pomagał. Tak więc „Klaruńcia”, jak mawiał do niej jej brat, Franciszek, trafiła za kratki. Na nic nie zdały się protesty, próby „załatwienia” jej wypuszczenia - babki na weselu nie było. Wyszła po dwóch tygodniach. Do babci Klary i wujka Staszka, który z nią mieszkał, na każdą Wigilię przychodziła cała rodzina. My, dzieci, nie mogliśmy się doczekać kutii. Pamiętam, że babka wykorzystywała pozostający z kutii mak, koniecznie ucierany w makutrze, do pierogów. Nigdy nie zapomnę ich smaku. Ale robiła też coś, co nazywa się w rodzinie bulbaszniki. Było to najlepsze na świecie jedzenie. Kilka lat temu przypomniła mi się ta potrawa. Jak ją zrobić, wiedziała ciocia Rozalia – Rózia, jak do niej mówimy. Bulbaszniki to takie kotleciki smażone na patelni (babka używała smalcu i miała kuchnię węglową). Robi się je z ugotowanych ziemniaków (najlepiej w skórce, bo zatrzymuje więcej skrobi), następnie obranych i przeciśniętych przez praskę (dawniej ugniatało się je w tzw. stępie). Do zrobienia kotlecików używa się 2/3 części tych ziemniaków, 1/3 części mąki, jajka, sól. Robi się z tego na stolnicy ciasto, które szybko rzednie. Bierze się tej masy kawałek wielkości mniej więcej kotleta mielonego. Do środka wkłada się farsz z kapusty kiszonej i grzybów (u nas wyłącznie prawdziwków). Farsz najlepiej zrobić tak: kapustę kiszoną włożyć do dużej, głębokiej patelni i smażyć,

mieszając, żeby się nie przypaliła, podlewając od czasu do czasu odrobiną wody i przyprawiając. Dodać wcześniej namoczone i pokrojone grzyby. Dusić do miękkości. Jak farsz wystygnie, wykorzystać do nadziania kotlecików, które smażyć na złoty kolor z obu stron. Dlatego ważne jest, żeby farsz był przygotowany wcześniej, bo ciasto z ziemniaków będzie za rzadkie.

Jak mówią opowieści rodzinne Ankudewiczowie do Żytomierza trafili po Powstaniu Styczniowym z Litwy. Mogłoby się to zgadzać, ponieważ na Litwie żyje i żyło wielu Ankudowiczów. Nas, Ankudewiczów, na świecie jest niewielu. Mieszka ich pięcioro w Polsce, troje, za sprawą mojego brata, w Niemczech, znalazłam też kilkoro w obu Amerykach i na Ukrainie. Z Ankudowiczami mamy zapewne wspólne korzenie, ale w jakimś momencie dziejów rodziny urzędnik niechcący zmienił naszej gałęzi rodu jedną literę w nazwisku i tak już zostało. W tym roku nawiązałam ciekawy kontakt poprzez Naszą Klasę z Tomaszem Ankudowiczem, chłopakiem, który ma pasję poszukiwacza, jest podróżnikiem i świetnym fotografem. Obecnie mieszka w USA. Na początku roku skierował do mnie kilka istotnych uwag dotyczących pochodzenia Ankudewiczów: „Pani Tereso. Tak, pomyłka urzędnika tłumaczyłaby fakt, że Ankudewiczów nie ma wśród emigrantów płynących statkami do Stanów Zjednoczonych. Są natomiast również zniekształcone nazwiska, typu Ankudovich. Mam mnóstwo zapisków na temat naszej genealogii. Pierwsze wzmianki o nazwisku pochodzą bowiem z głębi Rosji i są związane z Vincentym Ankudowiczem (1792 - 1856), wykładowcą balistyki na jednym z uniwersytetów. wciąż mam jednak duży problem z rozwikłaniem pochodzenia mojej rodziny, gdyż pewien amerykański historyk uważa, że tworzenie nazwisk było przed laty bardzo popularne i że możliwym jest, że nasze nazwisko pochodzi: a) od miejscowości (do której dotarłem, Ankudy na północy Białorusi), b) od imienia ojca - syn, który biorąc za żonę osobę z innej wioski tworzył nowe nazwisko w znaczeniu: syn Ankuda lub syn Ankudy, tworząc familię o nazwie Ankudowicz. trzecią opcją (lub pierwotnym nazwiskiem), o której mówi ta osoba jest pochodzenie od greckiego patrona: Ankud lub Ankuda rozwinęły się od ros. lub biał. imienia Akindin, z greckiego "akindynos", czyli bezpieczny. Święty Akindynos opisany jest np. tutaj: <http://www.goarch.org/chapel/saints/270> Tak więc uważam, że nazwiska Ankudowicz i pokrewne mogły powstawać osobno i nie wszyscy są spokrewnieni. Na Litwie nazwisko przekształcano w Ankudavicius. Ta rodzina otrzymała tytuł szlachecki w 1820 roku i posługiwała się herbem Sulima. Mam również trochę wzmianek ze starszych materiałów, min. z Herbarza Adama Bonieckiego, ale muszę to wrzucić w centralne miejsce, aby każdy zweryfikował lub dorzucił swoje informacje. Jeszcze kilka słów o mojej rodzinie. Pochodzimy z Malkowicz, małej wioski w powiecie Postawy na terenie dzisiejszej Białorusi. Tam się urodził mój tata w r. 1938 i proszę sobie wyobrazić, że przez ponad 50 lat tam nie był. Wyciągnąłem go dopiero w kwietniu tego roku i była to niezapomniana podróż. Odnaleźliśmy wioskę i miejsce, gdzie stała jego chata, jego znajomych z dzieciństwa. Dzisiaj

wszyscy mają powyżej 70-ki, a wioska, która kiedyś miała 200 mieszkańców, teraz ma ich 7. Umiera. Oni nie spodziewali się jeszcze zobaczyć, więc płaczu było sporo. Na miejscowym cmentarzu tata odnalazł grób babci, a ja około 60 innych nagrobków Ankudowiczów. Zapraszam do obejrzenia galerii z tej wyprawy: <http://www.tomxx.net/fotoblog/?m=0409>. W tej wiosce mieszkali trzy rodziny Ankudowicz, lecz nie były ze sobą spokrewnione. Z potomkami dwóch pozostałych mam dobry kontakt: pierwsza rodzina wyemigrowała do Argentyny, ale w tym roku również odwiedzili te strony na Białorusi. Druga wiąże się z aktorką Katarzyną Ankudowicz i właśnie jej rodzina wciąż tam mieszka. Być może przed wyjazdem do Żytomierza Pani rodzina również pochodziła z tego obszaru. Mam kontakt z Ankudowiczami pochodzącymi z Wilejki, która znajduje się niedaleko tego miejsca. [...] Na stronie genpol.com znalazłem informację o Ankudowiczach pochowanych na polskim cmentarzu w Żytomierzu: Mikołaj /syn Józefa/ Ankudewicz ur. 3 lutego 1920 r., um. 4 czerwca 1926 r. [byłby moim wujkiem – był najstarszym dzieckiem Józefa i Klary, utonął w gliniance - przyp. aut.]; Marya Ankudewicz – bez dat [najprawdopodobniej moja prababka – przyp. aut.] Jan Ankudewicz 1887 – 1965 Antonina Ankudewicz 1888-1961 Sławik Ankudewicz 1940 – 1945 Antoni Ankudewicz – bez dat może to ktoś z Pani rodziny? [dalsze kuzynostwo wg ustaleń z Rozalią i Stanisławem – przyp. aut.]”

Podobnie, jak z nazwiskiem ojca, było z nazwiskiem mojej mamy: Dziadowiec, które tutaj na Ziemiach Zachodnich przez jakiś czas funkcjonowało jako Dziadowicz. Dziadek Wojciech pochodził z Buczkowa, małej wsi pod Bochnią. Babka Antonina ze Zwolińskich zaś mieszkała we wsi Święty Józef niedaleko Kołomyi. Przez całą starość wspominała tę wieś. Kiedyś w jednym ze stowarzyszeń Sybiraków trafiłam na monografię tej miejscowości – wszystko, o czym mówiła babka, było prawdą. Dziadek ukończył szkoły i wyruszył zgodnie z ówczesnym trendem na bogate ziemie wschodnie, gdzie brakowało wykształconych ludzi. Został w Kołomyi leśniczym. Rodzinie żyło się dostatnio. Oboje byli swoimi przeciwieństwami: dziadek był zrównoważony, można powiedzieć nawet, że był flegmatykiem, natomiast babka była najprawdziwszym cholerykiem. Dziadek pasjonował się polityką, był wielkim zwolennikiem Piłsudskiego, żołnierzem I wojny światowej, podczas której stracił kilka palców u obu dłoni. Już tutaj miał zwyczaj słuchania Radia Wolna Europa z malutkiej tranzystorowej Selgi w kuchence na półpiętrze ich maciejowskiego domu. Babka Antonina przez całe lato goniła nas, swoje wnuki, do roboty: a to trzeba było zbierać siano, a to pracować przy żniwach. Za to rewanżowała się nam świetnym jedzeniem. Nikt nie piecze takiego placka moczzonego, jak robiła to babka. Było to jakieś ciasto, które na noc topiła w wiadrze z wodą, albo w studni. Wiem, że są różne przepisy na podobne, ale tylko podobne. Poza tym

smażyła pączki bez nadzienia. Nie znosiłam tych pączków, bo nie były słodkie, ale dziś robiąc pączki, doceniam inwencję babki - takie nie nadziane się nie przypalają. Robiła też najlepszy i najprostszy sos do młodych ziemniaków – na maśle podsmażała pokrojony gruby szczypior i dodawała troszkę soli i do tego śmietanę. Mój mąż uwielbia ten sos.

Tak więc dziadek poznał babkę w Świętym Józefie i tam się pobrali. Później wybudował wielki dom w Kołomyi i kupował morgi ziemi, bo miał zwyczaj wówczas mawiać: „Tego ogień nie spali i woda nie zabierze”. Nie przewidział komunizmu. Zresztą babka do końca życia wypominała mu tę stratę. Mówiła o nim pogardliwie: „ten Mazur”, bo na kresach wszyscy, którzy przybyli z części centralnej Polski, byli dla miejscowych „Mazurami”. Dziadkowie Dziadowiczowie czy Dziadowcowie przyjechali po wojnie do Ruszowa a później do Maciejowej. Po dziadku jego profesję odziedziczył jedyny syn - Jan, który został także leśniczym i zamieszkał w Leśniczówce. Cóż tam były za wakacje! Z Polski zjeżdżało się kuzynostwo – ja byłam zawsze najmłodsza i dokazywało przez całe lato. Był tam duży staw rybny, który traktowaliśmy jak basen, mieliśmy też kajak. Leśniczówka jest położona w przepięknym zakątku wsi, z dala od drogi. Ciotka robiła nam ser ze śmietaną, łowiliśmy pstrągi „na rękę”, których było tam bez liku.

Dzieciństwo mieliśmy barwne i radosne. Do szkoły mieszczącej się w dwóch odległych o około 300 m od siebie budynkach chodziliśmy bardzo chętnie. Większość z nas należała do harcerstwa, które prowadziła Nadzieja Winniczek. Potrafiliśmy w niedzielne popołudnie pójść pod dom, w którym mieszkała i wywołać ją, żeby poszła z nami do parku na podchody. Ale najchętniej do dziś wspominamy naszych znakomych wychowawców, małżeństwo państwa Połoczańskich. Przez kolejne lata, także po ukończeniu przez nas podstawówki w Maciejowej, jeździliśmy co roku na obozy wędrowne, przez nich organizowane. Zwiedziliśmy wiele ciekawych miejsc, nauczyliśmy się samodzielności i odpowiedzialności. W szkole działały koła zainteresowań, w tym chór, prowadzony przez nieżyjącego już Cypriana Skrzypka. Na lekcjach śpiewu nauczył nas wielu pieśni i piosenek. Szkoda, że dzisiejsza szkoła tak rzadko wykorzystuje edukację muzyczną. Z występami wyjeżdżaliśmy do wielu instytucji. Mieliśmy czas na wszystko: na zajęcia pozalekcyjne, na naukę, ale i na zabawę. Wieczorami słuchało się radia, „Matysiaków”, w niedzielę „W Jezioranach” i koncertu życzeń. Telewizja przyszła później. W domu był jeden z pierwszych odbiorników na wsi. Na przygody „Zorro” schodziło się pół wsi. Dobrze pamiętam pogrzeb prezydenta Kennedyego. Dzieci siadały na podłodze w pokoju, dorośli na krzesłach. Rozprawiali o polityce, plotkowali. Ale najbardziej lubiliśmy słuchać opowieści o starych czasach, o przeżyciach wojennych i o rodzinie. Nasze zabawy w tamtych czasach często odbywały się w lesie i na pobliskich łąkach i na ogół były inspirowane lekturą Karola Maya. Nieco później filmem

„Czterej pancerni i pies”. Latem całymi dniami kąpaliśmy się w lodowatej zawsze Radomierce, spiętrzając płytką wodę tzw. tamą z darni porastających brzegi rzeki. Było to dla nich często zgubne, bo przy każdej większej ulewie groziło wystąpieniem wody z brzegów. Jesienią piekliśmy ziemniaki na polach. Zimą do ciemnej nocy zjeżdżaliśmy na sankach z góry Sławuty albo Wołkiewicza. Do dziś noszę ślady tych zjazdów. Trzeba było mieć nie lada doświadczenie, żeby po zmarzniętym, zbitym śniegu zjeżdżać slalomem między płotami kilkaset metrów w dół. Jeśli ktoś miał dobre sanki, zjeżdżał do samej Radomierki. Ale nigdy nikomu nic poważnego się nie stało. Gorzej było na górze „Pod Kaplicą” za plebanią. Tam chłopcy zrobili skocznię i złamań było sporo. Ale były też inne zabawy, niebezpieczne z punktu widzenia współczesnych rodziców. W czasie wakacji w zasadzie pojawialiśmy się w naszych domach w godzinach głównych posiłków. Najlepsza zabawa latem była późnym wieczorem po zapadnięciu zmroku. Było to łapanie robaczków świętojańskich, przełazenie podziemnymi tunelami i tzw. „podkładanie paczki”. Tę ostatnią zabawę z pewnością wymyśliła młodzież starsza od nas i przekazała ją młodszemu pokoleniu. Polegała ona na przygotowaniu za dnia opakowanej paczki, a po zapadnięciu zmroku podkładaniu jej na jezdni - ruch wówczas był sporadyczny - i oczekiwaniu na nadjeżdżający samochód. Zwykle były to „Stary” i zazwyczaj kierowcy zatrzymywali pojazd, by sprawdzić, co zawiera paczka. Nie raz, nie dwa uciekaliśmy, gdzie oczy poniosą przed rozwścieczonym, oszukany kierowcą. W czasie wakacji chodziliśmy też na grzyby, zbieraliśmy maliny i jagody. Pasja zbierania grzybów pozostała do dziś. Po szkole podstawowej trafiłam do jeleniogórskiego ogólniaka na Kochanowskiego. Chodziłam do klasy humanistycznej, polskiego uczył mnie profesor Herbut, niemieckiego i łaciny – profesor Dyduch. Były to czasy pokontestacyjne, ale my byliśmy jeszcze na to za młodzi, choć próbowaliśmy wzorować się na dzieciach-kwiatach.

Kiedy rozpoczęłam studia na wrocławskiej polonistyce, wszyscy zostaliśmy zapisani do Socjalistycznego Zrzeszenia Studentów Polskich. Bardzo wielu z nas nie przyjęło legitymacji. Do dziś w telewizji od czasu do czasu widuję ówczesnych działaczy tej organizacji, zajmujących bardzo intratne stanowiska. Często nieco gorzej mają się niektórzy z tych, co zakładali nielegalne wówczas organizacje studenckie, wszak to był czas działań SKS-u i później NZS-u. Niezapomnianą pozostanie dla mnie msza w Katedrze wrocławskiej, poświęcona zamordowanemu Staszкови Pyjasowi. Wtedy po raz pierwszy pod Katedrą uczestniczyłam w wiecu. Prowadzili go moi nieco starsi koledzy z polonistyki, historii, filozofii, historii sztuki. Ułatwiało to dalsze kontakty oraz drobną pomoc, np. przy kolportażu czy przechowywaniu zakazanych wówczas ulotek. Jak grzyby po deszczu powstawały teatry studenckie. Jako przyjaciółka Teatru TUBB, jeszcze do dziś istniejącego (Teatr Uniwersytetu Bolesława Bieruta – niestety, wtedy nasza

zaczyna uczył się w tej uczelni, która nosiła takie imię), uczestniczyłam w próbach i przede wszystkim niezapomnianych zabawach. Próby odbywały się w nieistniejącym już dziś klubie studenckim Indeks albo Domu Asystenta. Przedstawienia TUBB-u oraz innych licznych grup, powstających samoistnie i z potrzeby serca, pozwalały przede wszystkim na wyartykułowanie prawdziwych naszych emocji i odczuć związanych z zastaną socjalistyczną rzeczywistością. W przedstawieniach reżyserzy starali się przemycić słowa, symbole, znaki wówczas zakazane. W ten sposób próbowaliśmy walczyć z cenzurą, komuną, inwigilacją, wszechobecnymi kapusiami. Czuliśmy się z tym lepiej. Na dziedzińcu Filologii odbył się niezapomniany koncert Jacka Kaczmarskiego, naszego kolegi z polonistyki warszawskiej. Byliśmy wszyscy mocno poruszeni jego pieśniami. To był nasz pierwszy kontakt z bardem, ale mieliśmy ich na studiach więcej – to ci, którzy oprócz pisania (bo wtedy każdy był poetą), także potrafili nas rozśpiewać. Słuchaliśmy Kaczmarskiego i Gintrowskiego, Kleyffa i innych poetów z Salonu Niezależnych, Wysockiego, Okudźawy, tekstów Jewtuszenki i współczesnych poetów polskich, które świetnie śpiewał Romek Kołakowski. 2 i 3 czerwca 79 roku byłam w Warszawie, oczywiście w kolejnych dniach także w Częstochowie i Krakowie. Papież podróżował samolotem albo śmigłowcem, a my autostopem. Byliśmy chętnie zabierani przez kierowców, nawet częstowani obiadem albo kanapkami. Nie było problemu z wejściem na mszę, nawet w pobliże ołtarza. To tylko kwestia odpowiednio wcześniejszego przyjścia na celebrę. W nocy w Warszawie było tak gorąco, że spaliliśmy na kartonach rozłożonych na chodniku. Płyty były ciepłe przez całą noc. Wtedy jeszcze nie rozumieliśmy słów Papieża. Ostentacyjnie okazywaliśmy swoją przynależność do Papieża, ale nie wszyscy byliśmy gotowi na nowe, które miało nadejść. Po pierwszej wizycie Papieża znacznie wzmożła się działalność podziemia. Nasi nieżyjący już Profesorowie, Hernas, Sobol, ale i ci młodszy, Stasiu, Jerzy, Jan, pomagali nam zrozumieć rzeczywistość. Były to też czasy Rewolucji Krasnali, czyli Pomarańczowej Alternatywy. Do dziś nie zapomnę ściany, na wówczas Katedrze Historii Sztuki, codziennie zamalowywanej z powodu odradzającego się każdej nocy nieporadnie namalowanego ludzika w charakterystycznej czapeczce. Kiedy rano wysiadaliśmy z siódemki na Szewskiej, zawsze były świeże plamy farby na murze. Takich miejsc było więcej. Kiedy wybuchła wojna, ogłoszona przez WRON, byłam już mężatką i matką. Mieliśmy własne mieszkanie. Było to z jednej strony wielkie dla mojej rodziny szczęście, z drugiej, byliśmy bezwzględnie i nieustannie odwiedzani przez koleżeństwo ze studiów. Czasem nie mieliśmy swego miejsca do spania. Z czasów wojny, prócz tego, co zwykle, utkwiły mi w pamięci złote guziki w wojskowym szynelu Majora. Zobaczyłam je w pewien bardzo mroźny i słoneczny poranek na wrocławskich Krzykach. Szłam do pobliskiego sklepu, gdy moją uwagę właśnie zwróciły te odbijające słońce guziki. Major, który dyrygował z ziemi ludźmi zwieszonymi wysoko na

drzewach, a zbierającymi jemiołę dla Herbapolu, chętnie skorzystał z zaproszenia na śniadanie. Był to błąd z mojej strony, bo Major zaczął przychodzić na różne posiłki, podobnie, jak w czasach akademika, kiedy zawsze zjawiał się koło dziesiętnastej w pokoju moim i mojej koleżanki ze studiów, Danki. W pamięci utkwiał mi też pierwszy wojenny sylwester. Mój nieżyjący już przyjaciel, Adam, zaprosił do nas na imprezę wszystkich napotkanych wcześniej znajomych. W konsekwencji, mimo godziny policyjnej, zjawiało się w naszym mieszkaniu coraz więcej osób. Wielu nie znaliśmy, ale byli też dzisiejsi profesorowie, posłowie, „wojewoda”, dziennikarze, biznesmeni itp. Do niezapomnianych należy następujące zdarzenie. Wszyscy nasi goście, chyba zgodnie z polskim obyczajem, zdejmowali buty, które były wtedy na kartki. Wiele osób miało więc takie same obuwie. Niestety było, że jeden z gości miał buty mniejsze od tych, które nosił nasz kolega. Nad ranem ów pan włożył jeden but swój i drugi kolegi. Ale kto to był? Bo miał lewy but o rozmiar większy i nie przeszkadzało mu to w niczym, zwłaszcza, że zima była sroga. Kilka tygodni trwało ustalanie, do kogo mógł należeć mniejszy. Uroczysta wymiana obuwia nastąpiła na początku lutego. Odetchnęli wszyscy, zwłaszcza moja rodzina, narażona na codzienne wizyty kolegi z lewym za małym. Sylwester u nas odbił się szerokim echem w wieżowcu, w którym zamieszkaliśmy półtora miesiąca przed wprowadzeniem stanu wojennego. Wszyscy na osiedlu wiedzieli, gdzie mieszkają ci studenci. Kiedy matka Adama niosła weselne gęsi, żeby je przechować w naszej zamrażarce, ale nie знаła adresu, napotkani ludzie wskazywali jej okna naszego mieszkania. Słuchaliśmy wtedy też wtedy piosenek z internatów, bo wielu kolegów siedziało, ale jakimś cudem całe koncerty były nagrywane na taśmy magnetofonowe. Słuchało się także Radia Wolna Europa.

Kiedy wojna jaruzelska okrzepła i pozwolono nam, po wysłuchaniu określonych prelekcji w sali Nehringa, wrócić na studia, zaczęła się prawdziwa konspiracja. Dziewczyny przenosiły bibułę, chodziliśmy na tajne koncerty i przedstawienia. Wieczorami zastanawialiśmy się, gdzie może być Frasyńniuk i gdzie Pinior ukrył 80 mln zł Solidarności. Z Anglii zaczęliśmy dostawać, co zawdzięczamy Mirkowi, paczki. Poprzedzała je zazwyczaj widokówka od ciotki z Londynu z pozdrowieniami. Był to znak, że wkrótce przyjdzie coś więcej. i przychodziło. Pod pierwszą warstwą czekoladek w bombonierce bardzo umiejętnie ulokowane były zakazane wówczas książki. Tak samo było z proszkiem do prania. Na poczcie paczka była otwierana i dziwne, że nikomu nie przyszło do głowy, żeby porównać wagę wypisaną na opakowaniu proszku z tą rzeczywistą. Wszędzie mieliśmy sojuszników. Władze uczelni miały wciąż kłopoty z niesfornymi studentami, którzy prowadzili tzw. działalność opozycyjną. Z relacji znam zdarzenie, które zawsze mnie bawi. Chłopcy zostali poproszeni do rektora, który im tłumaczył, że wciąż przychodzą do niego

odpowiednie służby i że mają studentów na oku. Zrezygnowany magnificencja zaproponował chłopcom, żeby może zorganizowali sobie jakąś wycieczkę? Niedługo czekał. Chłopcy wynajęli „Fredrusia” (taki autobus wycieczkowy otwarty) i jeździli po Wrocławiu wymachując białą flagą z charakterystycznymi czerwonymi literami. Za nimi jeździły odpowiednie służby i w końcu Fredruś został zatrzymany. Kiedy rozwinięto całą flagę, okazało się, że jest na niej napis „Solidność zwycięży”. Takich akcji pamiętam więcej. W drwieniu z esbecji celował Major, który wówczas wynajął pokój na Biskupinie. Kiedy sąsiadka powiedziała mu, że w jej domu zainstalowała się odpowiednia służba, żeby – jak dziś powiemy- monitorować gości Majora, twórca „Rewolucji Krasnali” natychmiast dał ogłoszenie do gazety, że sprzedaje tanio pralkę automatyczną jugosłowiańską. I podał adres. Sama czytałam to ogłoszenie i sama chciałam kupić. Służby bardzo szybko zrezygnowały z obserwacji Majora i jego gości. W naszym mieszkaniu zameldowane były trefne osoby, między innymi działacz KPN - i nie był to park narodowy. Krzysiek był wciąż inwigilowany. Swoje również odsiedziało. Zameldowany był u nas, ale mieszkał z Alą w akademiku. Kociół był w dwóch miejscach równocześnie, ale i tak Krzyśka nie zastali. Pięciu roślących goryli, aż z Zabrze, fatygowało się do naszego krzyckiego mieszkania. Sprawdzali nawet liście w pokoju synka, który wskazałam, jako zamieszkiwany przez Krzyśka. W łazience pod wanną był wałek i cały sprzęt do druku, przyniesiony przez Mirka. Z Leszkiem i Adamem postanowiliśmy wykorzystać sprzęt i drukować bardzo ambitne pismo „Afront”. Wysły chyba ze dwa numery. Był to już czas naszej – mojej i męża pracy zawodowej. Janusz wydawał świetną gazetę w szkole, a drugi sprowadzał nam do mieszkania całe klasy, żeby rozmawiać o sztuce i literaturze, a także historii. Trzeba było zawsze zaparzyć największy garnek herbaty.

W mieszkaniu na Krzykach mieszkaliśmy równo 20 lat. Po tym czasie postanowiliśmy je sprzedać i kupić jakiś domek do remontu na wsi. Okazja nadarzyła się szybko. Internet był tu nie do przecenienia. Domek był ruiną, ale miał dużą działkę. Zamieszkaliśmy zatem w odległości blisko 30 km od Wrocławia, na kompletnej równinie. Zawsze mnie tam fascynowały wschody słońca, a zwłaszcza księżyca. Nic równie pięknego dotąd nie widziałam. Wielka ognista kula wyłaniała się zza pola Usiewiczowej, naszej sąsiadki. Przyzwyczajona do miasta i gór, nie wiedziałam, że wschody słońca i księżyca mogą dostarczyć tylu wrażeń. Szybko nauczyliśmy się żyć na wsi, zaprzyjaźniliśmy się z wieloma mieszkańcami. Często nasz powrót do domu był tam oczekiwany – na podwórku stali już interesanci, żeby im napisać na komputerze podanie, albo żeby nam sprzedać jaja lub kogutka. Uprawialiśmy ziemię: mieliśmy własne ziemniaki, pomidory, warzywa, truskawki. I mnóstwo kotów. Z czasem stał się to dla nas duży problem. Obok dwóch kotek, które mieszkaly z nami już we Wrocławiu, zaczęły się pojawiać

w obejściu coraz to nowe. Wszystkie były karmione i leczone, gdy chorowały. Miało to znaczący wpływ na nasze finanse. Najbliższym sąsiadem był pan Władek Pomykała, którego ogród mógłby posłużyć do opisów podobnych do tych w „Panu Tadeuszu”. Pan Władek zastynał w naszej rodzinie z opowiadania bardzo uroczych historii. Inni nasi sąsiedzi mieli tuczarnię gęsi, które śmierdziały na całą wieś. Kiedy któregoś razu nie poczuliśmy osłabiającego smrodu, pan Władek powiedział, że „gęsi poszły na koplę”. Żadne z nas nie wiedziało, co to jest, a dla mieszkańców „kopla” była czymś bardzo oczywistym. Były to łąki nad Odrą, na które przepędzono ptaki. Nasz sąsiad miał też osobliwe poczucie odległości. Pewnego razu pojechał w swoje strony rodzinne i przy okazji zwiedzał Wieliczkę. Kiedy wrócił, z przejęciem opowiadał o długości kolejki do kasy: „Kolejka była jak od waszej stodoły do tamtej i z powrotem, i jeszcze raz do tej stodoły”. Innym razem opowiadał o tym, że zimą widział taką ilość gawronów siedzących na drzewie, że złamała się pod ich ciężarem gałąź i wszystkie gawrony poniosły tragiczną śmierć.

Bardzo lubiłam tę wieś i ten dom, który piękniał z miesiąca na miesiąc. Mieszkańcy chętnie zachodzili do nas pod byle pretekstem, żeby porównać obejście znane im przed naszym osiedleniem się we wsi.

Tymczasem wujek Staszek postanowił zapisać mój dom rodzinny w Maciejowej mnie i w związku z jego wiekiem nastąpiła w moim życiu kolejna przeprowadzka. Wzięłam ze sobą dwa koty, bez których nie umiem już żyć, parę książek i zamieszkałam znów w Maciejowej. I tak po doświadczeniach wielkomiejskich, wiejskich trafiłam do tego ni to miasta – ni to wsi. Myślę, że dla mnie w sam raz na resztę życia.